

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Ferdynand Antoni Ossendowski

BIAŁY KAPITAN

Powieść

Copyright © by Tower Press

**Wydawnictwo „Tower Press ”
Gdańsk 2001**

Rozdział I

NUMER 253 I NUMER 13

– Co dziś mamy do zrobienia, panie Pink?

Takie pytanie padło z grubych warg opasłego pana Swena i natychmiast zostało zagłuszone potężnym ziewaniem oraz głośnym chrzęstem stawów, gdyż czcigodny dyrektor więzienia zaczął prostować swoje ramiona atlety.

Dochodziła dopiero ósma godzina, był ponury, mglisty poranek, więc i pomocnik pana Swena, wysoki, chudy, zawsze przepojony goryczą chorej wątroby Pink ziewnął dyskretnie i odparł:

– Jałowy, nudny dzień, panie dyrektorze, doprawdy, zupełnie nudny! Mamy dziś do wypuszczenia na wolność tego nicponia Miguela i milczącego jak grób Stefana. To i wszystko! Nic ciekawego...

– Życie staje się coraz bardziej jednostajnym, drogi Pink! – westchnął dyrektor. – Minęły te czasy, gdy co drugi dzień przybywał do nas zacny ksiądz Minster, doktor Wolley, elegancki Strengler – i zaczynała się gorączkowa, podniecająca praca!

– Tak! Tak! – zawołał Pink. – Ksiądz spowiadał skazanego, coś gadał do niego o królestwie Bożym i o marności tego życia...

– Kawalarz z tego księdza Minstera! – zaśmiał się pan Swen. – Wie przecież, że zbrodniarze idą do piekła, prościuteńko, szerokim traktem, galopem, a zawraca im głowę na pożegnanie... dla porządku. Dobra też ta marność życia! Jakeśmy to popijali nieraz, smacznie zajadali i opowiadali sobie wesołe historyjki z księżulkiem Minsterem! Pamiętacie, Pink?

– Pamiętam, a jakże, pamiętam, panie dyrektorze! – zarechotał drewnianym śmiechem chudy Pink. – Zabawny też ten doktor Wolley! Nie wiadomo po co wysłuchiwał i opukiwał skazanego, i z radością stwierdzał, że serce robi o dwadzieścia, a nawet dwadzieścia pięć uderzeń więcej niż zwykle. Tylko Strengler nic nigdy nie mówił. Naciągał powoli swoje niciane rękawiczki i czekał spokojnie, aż prokurator każe mu zarzucić stryczek na szyję zbrodniarza, no i skończyć z nim na zawsze.

– Strengler – bardzo elegancki i porządny człowiek – zgodził się pan Swen.

– Podoba mi się system jego roboty! Gdzie te dobre czasy? Dyrektor ziewnął znowu i zaczął przeglądać podane mu przez Finka papiery.

– Dawaj pan te numery do zwolnienia! – mruknął nareszcie. Pomocnik zdjął trąbkę telefonu i kazał dozorcóm przyprowadzić Numer 253 i Numer 13.

W tej właśnie chwili wszedł urzędnik i oznajmił:

– Ksiądz Minster chciałby się widzieć z panem dyrektorem.

– O wilku mowa, a wilk tuż! – ze śmiechem zawołał pan Swen. – Prosić! Prosić!

Ksiądz Minster, tłusciutki, różowiutki o chytrych, małych oczkach, o wilgotnych, pulchnych ustach, wszedł, zacierając białe, wypieszczone dłonie i uśmiechając się przyjaźnie.

Uściskawszy ręce obecnych, usiadł i bardzo kwiecieśnie zapraszał do siebie na obiad

imieninowy. W zimnej, ciemnej izbie zapanował dobry humor; zdążono opowiedzieć sobie parę dosadnych anegdotek, gdy otworzyły się drzwi i wprowadzono dwóch więźniów.

– Niech ksiądz zaczeka – rzekł, kładąc mu na kolanie rękę, pan Swen. – Zaraz się załatwimy z tymi numerami i porozmawiamy potem obszerniej. Z księdza teraz taki rzadki gość!

Dyrektor Swen rozwinął tekę z papierami i przejrzawszy ją, rzekł surowym, uroczystym głosem:

– Numer 253... Julian Miguel... Byłeś skazany na trzy lata więzienia za kradzież. Karę swoją odbyłeś. Za kilka minut opuścisz więzienie i droga uczciwego życia otworzy się przed tobą. Pamiętaj o twych występkach, które zaprowadziły cię do więzienia i niech wspomnienie o nim powstrzyma cię od nowych zbrodni, Julianie Miguel!

Mały, ruchliwy, rudy i piegowaty Miguel przez cały czas mowy dyrektora przyglądał się księdzu tak uporczywie, że ten spuścił oczy i przybrał maskę świętobliwego współczucia.

– Czy rozumiałeś, com do ciebie mówił? – zapytał pan Swen, po raz pierwszy rzucając wzrok na więźnia.

Miguel uśmiechnął się, łyskając ostrymi zębami i białkami ruchliwych oczu.

– Słyszałem, panie dyrektorze, lecz nie rozumiałem ani słowa! – rzekł wybuchając śmiechem.

– Jak to? – zapytał Pink, ze zdumieniem spoglądając na obecnych. – Nie rozumiałeś?!

– Ani słowa! – odpowiedział Miguel. – Zaraz objaśnię. Pan dyrektor wskazuje stojącą otworem przede mną drogę uczciwego życia. Proszę księdza! Przypuśćmy, że ksiądz potrzebuje w tej chwili ogrodnika na plebani. Wyszedłszy stąd, zgłoszę się do księdza i powiem: „Byłem aresztantem numer 253, odsiedziałem karę za kradzież i proszę o przyjęcie mnie na ogrodnika za tanie, bardzo tanie pieniądze.” Czy ksiądz mnie przyjmie? Proszę powiedzieć uczciwie, tak jak Chrystus uczy! No! No! Niech się ksiądz nie krępuje!

Ksiądz Minster poruszył się w fotelu i opuścił głowę, udając, że nie ma prawa wtrącać się do spraw urzędowych.

Tak, tak... – ciągnął dalej coraz weselszym głosem Miguel. – Właśnie... Ani ksiądz, ani nikt inny mnie nie przyjmie do domu i pracy nie da. Będę głodny jeden dzień, dwa, trzy, może cztery, a na piąty przyjdę do pana dyrektora w miłym towarzystwie policjanta i po wyroku znowu będę odsiadywał termin kary, i wyczekiwał dnia, aż droga uczciwego życia ponownie otworzy się przede mną. Czy dobrze mówię, Stefan? Co?

Aresztant numer 13 ani drgnął. Patrzył na portret prezydenta państwa i milczał.

– Pierwszy raz wpadłem do worka też z głodu; zdarzyło się to po plajcie, którą zrobiła fabryka, gdzie pracowałem. Byłem głodny, bardzo głodny po tygodniu takiego postu, o jakim tutaj obecny ksiądz nie ma pojęcia. Jeszcze dwa, trzy dni i stałbym się świętym, lecz woląłem nie próbować tego zawodu, wlałem więc do jakiegoś zamożnego mieszkania i podzieliłem się majątkością, biorąc z niej dla siebie bardzo mało.

– Ukradłeś! – zawołał pan Swen.

– Można to nazywać, jak komu się podoba! – odparł Miguel. – Co do mnie, to doprawdy przez trzy lata więzienia nigdy tego tak nie nazwałem, bo wiem, że gdyby mi się udało ująć pościgu policji, najeść się i znaleźć pracę – podrzuciłbym wartość wziętych rzeczy i nigdy, ale to nigdy nie myślałbym o nocnych wizytach do cudzych mieszkań, panie dyrektorze!

– Wszystko jest warunkowe w życiu ludzkim, panowie! – odezwał się nagle aresztant numer 13. – Poznałem w więzieniu sporo ludzi bardzo przyzwoitych i uczciwych. Byli złodziejami, a nawet mordercami...

– Piękna mi przyzwoitość! – wybuchnął dyrektor. – Zbrodniarze!

– Znowu warunkowe określenie – mruknął Numer 13. – Pozwolą panowie, że przytoczę przykłady. Numer 177 siedział u pana dyrektora przez siedem lat za fałszowanie pieniędzy, a gdy wyszedł wybuchnęła rewolucja, i jego jako specjalistę–gawera nowy rząd powołał do

drukowania banknotów, zupełnie podobnych do dawnych. Biedak musiał to zrobić, ale ciągle się głowił nad tym, za co stracił siedem lat w ułu, gdy teraz za takie fałszowanie pieniędzy płacą mu i chwalą za ścisłość w pracy. Niech teraz powróci król, a rządowy podrabiacz banknotów zapewne znowu przywdzieje szary strój aresztancki.

– Nic w tym dziwnego! — wtrącił ksiądz. — Rząd mu kazał, więc robi...

– Proszę księdza! — zawołał Miguel. — To jest wykret! Nie wolno zabijać! — groził stary Jehowa, jeżeli inny człowiek uderzy cię w prawy policzek, podstaw mu lewy! — uczył Chrystus. Nic nie mówi się tu o rządzie, a tymczasem wojna hula po świecie, wy, duchowni, błogosławieństwo swoje dajecie i mordowanym, i mordercom. Coś się w tym kryje! Jakaś wielka pomyłka lub jeszcze większy fałsz!

– Co do morderstwa karanego surowo i wcale nie karanego, a nawet wynagradzanego, można też przytoczyć przykłady – rzekł Numer 13 spokojnym, nudnym głosem. – Panowie, a szczególnie ksiądz, musicie pamiętać emigranta Henryka Laskowskiego. Powiesiliście go za zamordowanie człowieka, który usiłował zabić w nim nie tylko honor, lecz więcej – duszę. Wszystko w porządku! Prawo, opinia publiczna. Kościół nie powstał przeciwko wyrokowi. Oburzyło je okrucieństwo, z jakim Laskowski mordował swoją ofiarę, i o wszystkim teraz zapomniano. Niech pan, panie dyrektorze, wyobrazi sobie przez chwilę, że my oba, ja – Numer 13 i Miguel – Numer 253, rzucamy się na pana, zrywamy mu szlify i czynnie go obrażamy. Jak pan postąpi? Pan wyciągnie z pochwy rewolwer i będzie do nas strzelał. Gdy będziemy leżeli ranni, pan może strzelać dalej, w uniesieniu dobijając rannych i bezbronnych, czyli dopuszczając się ponurej zbrodni, piętnowanej nawet na wojnie. Rząd za ten mord bezbronnych ludzi nie ubierze pana w okrągłą, szarą czapkę i w szerokie portki aresztanckie, nie ochrzci pana kolejnym numerem więziennym, lecz wyrazi uznanie, być może powiesi panu na piersi medal zasługi. A co byłoby, gdyby sąd składał się nie z urzędników państwowych, lecz z więźniów?

Miguel przy tych słowach poruszył się nerwowo i wybuchając śmiechem, wyrecytował:

– Wtedy zaproszono by z pewnością księdza Minstera, aby on z ostatnią pociechą chrześcijańską przyszedł do pana dyrektora, nim czarno ubrany kat Strengler zarzuciłby dobrze namydlony stryczek na dostojną szyję czcigodnego pana Swena!

– W tym właśnie kryje się przyczyna, dlaczego pocziwy Numer 253 nie zrozumiał ani słowa z przyjaznego przemówienia pana dyrektora – ciągnął Numer 13. – Wszystko jest warunkowe i stosunkowe. Car rosyjski zabijał bolszewików, i nikt się temu nie dziwił. Bolszewicy zabili cara, i to oburzyło wszystkich. Królowie mordują niepokornych poddanych, rewolucjoniści podcinają gardła ludziom, którzy są oddani królom, a przy okazji i samym królom. Papieże palili na stosach tych, którzy chcieli zgłębić naukę Chrystusa–Boga i głosili wiarę miłości bliźniego. Skazani przez wszechwładnych papieży na śmierć ludzie walczyli o prawdę wiary, lecz nie chcieli śmierci namiestnika Chrystusowego. Niedoszli skazańcy na spalenie stawali się nieraz Prometeuszami wiedzy ludzkiej, a z ust ich, uznanych za bezbożne, nigdy nie padły słowa zemsty i nienawiści. Rzymscy cesarowie zatopili krwią chrześcijan wszystkie areny cyrków, a skazańcy umierali ze słowami miłości. Zwyciężywszy, chrześcijaństwo nie zażądało głów oprawców. W jednym okresie wychwalano papieży i cesarów, w drugim – buntowników i niedawno pogardzanych chrześcijan. Dziwne to są rzeczy, panowie, niezrozumiałe dla Numeru 253!

– A dla cię... dla pana? – rzucił pogardliwie pytanie pan Swen.

– Ja to – zrozumiałem tu, w więzieniu, panie dyrektorze! – odpowiedział Numer 13 i urwał nagle. Zapanowało przykre milczenie. Przerwał je pan Swen.

– Widzę, że więzienie nie zmiękczyło waszych serc – rzekł trochę niepewnym głosem – więc nic nie mam do powiedzenia wam. W kancelarii otrzymacie wasze ubrania i dokumenty. Starszy dozorca odprowadzi Miguela i Stefana do kancelarii!

Dozorcy otworzyli drzwi gabinetu, lecz jeden z nich upuścił plikę papierów, i grupa

wychodzących ludzi na chwilę się zatrzymała.

Dyrektor więzienia nie zauważył tego. Zwracając się do Pinka, rzekł pogardliwie:

– To Stefan tak wyszkolił Miguela, a może i innych! Kto by myślał, że ten dawny panicz, do niczego się nie nadający, okradający ciotkę, milczący przez dwa lata jak pobity pies, wszystko cierpliwie, bez żadnej godności ludzkiej znoszący, tak może mówić! Ten to prędko do nas powróci! Anarchista! Zgubiła latorośl naszej arystokracji!

Tyradę tę usłyszał Stefan. Krew uderzyła mu do głowy, w oczach kołować zaczęły jakieś piękne ogniki, na czoło wystąpił zimny pot. Od razu przyłapał siebie na tym wzruszeniu i mimo woli się zdziwił. Z szybkością błyskawicy zaczęły się miotać myśli:

Swen mówił prawdę. Stefan pochodził z rodziny arystokratycznej, a stał się jej „zgubił latorośl”. Czyż nie tak? Otrzymał staranne wychowanie, ukończył wyższą szkołę, zajął wysokie na swe młode lata stanowisko, lecz ani z rodziny, ani też ze szkoły nie wyniósł żadnych ideałów, więc wpadł w wir życia, łatwo podlegał pokusom, narobił długów, a że były „honorowe”, więc uważał za mniej hańbiący czyn wykradzenie z biurka starej ciotki pewnej sumy na zaspokojenie wierzyteli.

Służąca zauważyła Stefana w momencie dokonywanej kradzieży i w obawie, że na nią padnie oskarżenie, zawiadomiła policję. Rewizja, znalezione poszlaki, wstyd, areszt, sąd i – dwa lata więzienia... To wszystko prawda. „Zgubiła latorośl”... W więzieniu za to mówiono do niego „ty, Stefan”; lada dozorca nakazywał mu zamiatać podłogi, prać bieliznę, czyścić ohydne, cuchnące lokale. Stefan milczał i wszystko znosił bez skargi i protestu.

Lecz wtedy byłem aresztantem numer 13 tylko! – mignęła mu myśl. – A teraz? Jakim prawem ten naczelny dozorca śmie tak odzywać się o nim, gdy jest wolnym człowiekiem. Sąd wyznacza karę na odpokutowanie za wszystkie błędy. Po dokonaniu wymiaru sprawiedliwości nikt nie ma prawa pogardliwie odzywać się o byłym aresztancie! Jeżeli zaś kara nie oczyszcza zbrodniarza w oczach społeczeństwa, wtedy precz z sądem! Bo to zbrodnia, znęcanie się nad duszą ludzką, tortury najstraszniejsze! Anarchiczny pomysł! Znowu Swen miał rację! Jednak...

Myśli te przeniknęły przez mózg Stefana, nim dozorca zdążył schylić się i podnieść papiery rozsypane po posadzce.

Stefan postąpił kilka kroków naprzód i stanąwszy przed dyrektorem więzienia, na pozór spokojnym głosem rzekł:

– Panie Swen! Mówię do pana w tej chwili nie jako Numer 13, lecz jako Eryk Stefan. Niech pan mnie uważnie wysłucha... Nie zawsze wracają do więzienia „zgubione latorośle” i dziedziczni zbrodniarze. Co do mnie – obiecuję panu, że się spotkamy z panem, lecz nie w tych murach, a przy innych okolicznościach. Mam nadzieję, że wtedy panu będzie bardzo zależało na mnie.

Zdumiony dyrektor, który już zapomniał o zajściu z Numerem 253 i Numerem 13, podniósł na mówiącego oczy i zakławszy z przyzwyczajenia więziennego siarczyście, wybuchnął beczelnym śmiechem.

– Do kata! Wyobrażam sobie, jaką znalazłbym u ciebie protekcję, przyjacielu!

– Panie Swen, niech pan mówi do mnie zawsze „panie Stefan”, bo inaczej nie lubię. Nie piliśmy przecież z panem na „ty”? Co zaś do protekcji mojej dla pana, panie Swen, to w obecnej chwili nie mogę panu nic przyrzekać. Może każę powiesić pana, a może naprawdę pomogę. Będzie to zależało od tego, jakie wspomnienia zachowam z powodu „zgubionej latorośli”, jak pan, panie Swen, raczyłeś nazwać mnie – Eryka Stefana. Do widzenia, panie Alwin Swen!

Powiedziawszy to, Stefan opuścił gabinet dyrektora więziennego.

– Wariat! – mruknął Pink. – Milczał przez dwa lata, teraz nagle zachciało mu się mówić elokwentnie...

– Mogłbym posadzić go jeszcze do ciemnej celi na parę dni za harde gadanie! – wrzasnął

Swen, uderzając pięścią w biurko.

– A za co? – spytał ksiądz, mrużąc chytre oczka. – Mówił bardzo przyzwoicie, a chociaż w jego słowach było dużo przykrych i zjadliwych rzeczy, zawierały one sporo prawdy... prawdy życiowej.

– Wsadzę go wraz z jego prawdą do ciemnej celi! – upierał się rozjuszony Swen. – Jakiś tam aresztant żeby śmiał tak do mnie gadać?

– Już on nie jest aresztantem, panie Swen! – mitygował go ksiądz.

– A ja księdzu dowiodę, że go wsadzę! – krzyczał dyrektor. Ten wypuszczony z więzienia nicpoń będzie mnie wieszał lub okazywał mi pomoc! No wiecie, to przechodzi wszelką wyobraźnię!

– Panie dyrektorze, nie warto go ruszać... – zaczął Pink.

– To pan go broni, Pink? – oburzył się Swen.

– Bo widzi pan, taki to pójdzie do swoich wpływowych krewniaków, wyleje potoki łez, oni wszystko przebaczą mu, a gdy pan go wsadzi teraz, bronić go będą, wносить na nas skargi do prokuratora, ba, nawet do ministra. Same tylko przykrości mogą z tego wyniknąć.

– Masz rację, panie Pink! – uspokoił się od razu dyrektor. – Pał go lichy! Niech jak najprędzej trafi na szubienicę, czego z całej duszy mu życzę! No, a teraz pomówmy o tym sympatycznym obiadku, księże Minster! Więc kiedyż to mamy się stawić?

Tak się zakończyło małe zajście w gabinecie dyrektora więzienia, lecz dalszy ciąg miał miejsce tuż za żelazną furtką więzienną.

Gdy brama ze zgrzytem zamknęła się za Miguelem i Stefanem, obaj zwolnieni więźniowie wparli wzrok w długą ulicę, biegnącą ku środkowi miasta.

– To jest właśnie droga uczciwego życia? – zapytał spluwając rudy Miguel. – Diabło długa, psiakrew, a. ma dwa końce. Jeden wpiera się w mury pałacu prezydenta, a drugi – w tę brudną ścianę więzienną! Może zawrócimy, bo do więzienia bliżej – nie zmęczymy się?

– Ja wolę iść naprzód! – odburknął Stefan. – Zmęcę się, lecz dojdę.

– Tobie dobrze tak mówić! – odparł towarzysz. – Pójdiesz do swoich i wszystko będzie po dawnemu... Jak gdyby nigdy nic... Stefan schwycił mówiącego za rękę i szepnął prawie groźnie:

– Pamiętasz starego Bozzara, tego co kilka razy powracał do więzienia?

– No jakże! Zapomnieć Bozzara! Pamiętam, jak zawsze mówił, że po każdym nowym terminie kary coraz mniej dla niego ludzi pozostaje na ziemi.

– Tak! Bozzaro mówił, że człowiek nie posiadający obleśnych, bezwstydných oczu psa nie może po więzieniu wrócić do dawnego życia, dawnych krewnych i znajomych. Dlatego mniej dla niego ludzi pozostaje na ziemi.

– Rozumiem teraz! – kiwnął głową Miguel. – No, ty to nie masz psich oczu, Stefanie. Nie!

– A więc i nie wrócę do swoich, ale nie powrócę i tam, nigdy, nigdy!

Stefan wskazał ręką na ciemnoczerwone, odrapane mury więzienia.

– Więc co będziesz robił? – spytał Miguel.

– Nie wiem jeszcze, lecz wierzę, że wypłynę na szeroką wodę, bracie, a wtedy pomogę ci, jeżeli się spotkamy kiedyś w życiu i ty będziesz mnie potrzebował...

– Obym ja tylko wtedy, gdy ty będziesz pływał, nie był zmuszony siedzieć znowu w ulu! – zachichotał, drapiąc się w rudą czuprynę, Miguel. – W tym cały sęk!

– Masz rację, towarzyszu, więc się trzymaj ostro, a wypytuj o mnie. Nazywam się Pitt Hardful.

– Jak to Hardful? – zdziwił się Miguel. – Przecież nazywałeś się Eryk Stefan?

– Eryk Stefan umarł w więzieniu – szepnął człowiek noszący to nazwisko. – A teraz bądź zdrow, Julianie Miguel, trzymaj się mocno wszystkimi pazurami i pytaj, pytaj o mnie.

– Kogo mam pytać? Policję, księdza, kupców, bankierów, pięknych wystrojonych panów?

– Pytaj włóczęgów, robotników, marynarzy, pytaj o Pitta Hardful – doszła Miguela

odpowieź towarzysza, już znikającego za rogiem bocznej uliczki ubogiego przedmieścia, nad którym panował ponury gmach więzienia.

– E–e! – wyrwało się Miguelowi. – Teraz rozumiem ciebie, bratku! Dziś Stefan, jutro Hardful, pojutrze Szulc. Rozumiem...

Przymrużył oko i gwizdnawszy przeciągle, ruszył w przeciwną stronę, aby odejść jak najdalej od tej przerażającej swoją długością „drogi uczciwego życia”, jak nazwał ulicę prowadzącą do serca miasta – do serca, które dla Numeru 253 nie mogło być zbyt dobrotliwe.

Rozdział II

DROGA UCZCIWEGO ŻYCIA

Pitt Hardful szedł, uważnie przyglądając się domom i ludziom. Znał to miasto niemal od dzieciństwa, i gdy zbliżać się zaczął do śródmieścia, fala wspomnień jak rozszalały bałwan morski runęła na niego. Otrząsnął się ze wzruszenia i siłą woli, wyrobionej w więzieniu – gdzie jedni zostają zmiażdżeni na proch, drudzy zaś zmieniają się w stal i krzemień – powrócił do zwykłego spokoju i obojętności.

Na jednej z wielkich ulic zatrzymał się w pobliżu dużego domu, długo stał, przyglądając się bacznie i nadsluchując.

Koło południa na ganku zjawiono się całe grono rozbawionych, strojnych młodzieńców i panienek. Pitt od razu spostrzegł brata. Podeszedł do niego i szepnął:

– Odejdź trochę, mam ci coś do powiedzenia. Ludwiku... Zmieszany młodzieniec, który poznał brata, odszedł na stronę.

– Poznałeś mnie? Jestem Eryk...

– Tak, tak! – odszepnął Ludwik, podejrzliwie i niespokojnie oglądając się za pozostałymi.

– Nie możesz pokazywać się w mieście, to rzuci hańbę na całą rodzinę... My ci damy pieniędzy, lecz musisz wyjechać... koniecznie i natychmiast...

– Ja nie o pieniądze chciałem cię zapytać – odparł smutnym głosem Eryk. – Chciałem dowiedzieć się, co słychać w domu... u was?

– Wszystko dobrze... wszyscy zdrowi... – w pośpiechu odpowiedział Ludwik, bojąc się, żeby ktoś z towarzystwa nie zbliżył się i nie poznał Eryka–złodzieja.

– Bardzo mnie to cieszy – rzekł dawny aresztant. – Pozdrów ode mnie wszystkich. Odjeżdżam – i zapewne na długo... Żegnam ciebie!

Zawrócił się i poszedł twardym, pewnym krokiem, nie zdradzając ani cienia wzruszenia. A jednak był wzburzony do głębi duszy.

Gdy przystanął dziś rano za furtką więzienną, uczynił to nie dla rozmowy z towarzyszem niedoli, rudym i piegowatym Miguelem, lecz w namiętnej nadziei, że ktoś z rodziny, wiedząc o terminie jego zwolnienia, przyjdzie go powitać, dodać otuchy, dopomóc radą.

Nikogo nie spotkał i od razu usprawiedliwił wszystkich. Przecież po roku więzienia, gdy dusza jego, przeszedłszy krzyżową drogę wstydu, rozpacz i męki, nie złamała się, lecz zastygła w bryłę krzemienią, co pod ciosami stali sypie milionami skier palących, napisał w owe dni list do rodziny, aby zapomniano o nim, bo już nigdy nie powróci, nigdy nie będzie czarną plamą, żywą hańbą dla swoich najbliższych, których, jako bardzo wobec nich winą obciążony, nawet kochać już nie potrafi..

Teraz przekonał się naocznie, że przed rokiem uczynił krok słuszny i dał wyjście wszystkim z ciężkiej, kłopotliwej sytuacji. Zapomniano o nim i w chwili, gdy rozpoczynał nowy okres życia, gdy stał przed zasłoną ukrywającą tajemnicę jego przyszłych dziejów – zapomniano o tym ważnym dniu w życiu syna i brata. Najbliżsi nawet nie chcieli go mieć w

swym gronie.

Serce zaczęło mu bić gwałtownie.

Zdusił je i uciszył, mówiąc do siebie:

– Ha, trudno! Sam tego chciałem. Bardzo poczcziwie z ich strony, że się zastosowali do mojego życzenia. To znacznie ułatwia moje zadanie.

Pitt Hardful nie był już podobny do Eryka Stefana; nikogo bowiem nie czynił odpowiedzialnym za swoje postęпки i od nikogo nie oczekiwał rady i pomocy. Miał w więzieniu dość czasu, aby obmyśleć niemal każdy swój krok w przyszłości. Był gotów na wszystko.

Uspokoiwszy swoje serce, zaczął cicho pogwizdywać, żeby nagle przerwać tok myśli, czego się nauczył też w więzieniu. Odczuwał teraz pęd życia w każdym mięśniu i nie znaną ludziom, a zwykłą dla zwierząt radość istnienia. Tę zdolność doznawania wrażenia radości dało mu też więzienie. Uczucie wolności potęgowało teraz tę radość, czyniąc z niej niemal rozkosz.

Pitt Hardful zapomniał o więzieniu, o trzynastce, o rodzinie i rozmowie z Ludwikiem, szedł szybko i pogwizdywał jak ptak, nie myśląc o niczym.

Jednak widocznie nogi jego otrzymały ścisły rozkaz, gdyż kierowały się twardym i pewnym krokiem aż ku dworcowi kolejowemu.

Gdy usłyszał ryk lokomotywy, przestał gwizdać.

Przypomniał sobie, ile ma pieniędzy zarobionych w więzieniu w warsztacie ślusarskim, a zwłaszcza w pracowni wyrobów ze sznurów, uśmiechnął się, podszedł do kasy, kupił bilet czwartej klasy do Marsylii i wszedł do wskazanego mu pociągu.

Teraz wiedział, że ma w kieszeni tylko tyle, aby zjeść jeden obiad.

Nie straszło go to bynajmniej. Wiedział, co robił, do czego dążył. Nie wątpił, że dopnie swego.

Gdy tak myśląc usnął, nagle poczuł, że ktoś szpera mu w kieszeni.

Nagłym chwytem zatrzymał nieznaną rękę, która nie zdążyła opaść. Była to twarda, spracowana dłoń niemłodego już człowieka o bladej twarzy i złych oczach.

– Sąsiedzie – rzekł Pitt – ręka należy do ciebie, kieszeń – do mnie. Skąd znów takie pomieszanie własności prywatnej?

– Puść mnie! – syknął przyłapany złodziej.

– Nie śpieszmy się tak bardzo! – mówił dalej Pitt. Mogę przecież prawą ręką rozbić panu szczękę lub narobić krzyku i wpakować pana do ula. Nie wiem jeszcze, co zrobię, ale tymczasem chcę porozmawiać po przyjacielsku.

Publiczność z przedziału, w którym jechał Pitt, ryknęła śmiechem.

Jakiś żołnierz, pykając fajeczkę, zaproponował sąsiadom zakład o to, co uczyni cywil ze złapanym złodziejem.

Tymczasem Pitt, pochylając się do bladego człowieka, szepnął do niego:

– Głodny jesteś?

– Tak... od pięciu dni. Wsiadłem do pociągu i jadę bez biletu... do Marsylii, gdzie łatwiej o robotę. Pracowałem w kopalniach... Zwolniono od razu tysiąc trzystu ludzi... —mówił, ledwie poruszając drżącymi ustami i nie spuszczać wzroku z badawczych, spokojnych oczu Pitta.

Ten nic nie odpowiedział, gdyż zaczął przysłuchiwać się uważnie sporom sąsiadów przy czym szczególną jego uwagę zwrócił hazardowny żołnierz.

– Ileż macie w sumie zakładowej? – spytał nagle, nie wypuszczając ręki złodzieja.

– Siedemdziesiąt dwa franki – odpowiedziało kilka głosów.

– Stawiam tyleż, jeżeli zgadniecie – rzekł Pitt niedbałym głosem.

– Zgoda! – zakrzyknęli gracze;

Pitt wtedy roześmiał się swobodnie i wypuszczając uwięzioną w kieszeni dłoń, poklepał bladego człowieka po ramieniu i zawołał:

– Tośmy ich nabrali, Henryku! To był zwykły kawał, panowie! Henryk Tabatier jest moim kolegą z kopami. Udał scenę okradzenia, aby zagrać na hazardowności waszej. Dawajcie siedemdziesiąt dwa franki!

Mówiąc to, Pitt zgarnął leżące na ławce pieniądze i podzieliwszy je na dwie równe części, jedną oddał blademu człowiekowi, drugą spokojnie schował do kieszeni.

– Jutro się spotkamy w porcie, Henryku – mówił Pitt, nieznacznie trącając wylekłego i zdumionego złodzieja – a tymczasem wysiadaj tu, odwiedź czarnego Helsa i razem przyjeżdżajcie do Marsylii. Pociąg staje, spiesz się, Henryku!

Blady człowiek, prawie nieprzytomny, wyszedł i po chwili zmieszał się z tłumem wsiadających i wychodzących pasażerów.

– To oszustwo! – zawołał, ochłonawszy ze zdumienia, żołnierz.

– A zapewne! – zaśmiał się Pitt. – Oszustwo, jak każdy zakład. Grający są albo oszustami, gdyż wiedzą, co wypadnie, albo durniami, którzy nic nie wiedzą. Czyż nie tak?

Odpowiedział mu śmiech sąsiadów.

– Dobra sztuka! – rzekł jeden. – Muszę ją kiedyś powtórzyć, ale: wtedy, gdy będzie grubszy zakład.

– Doskonały pomysł! – zgodził się Pitt, przytykając oczy, bo mu się chciało śmiać głośno, beztrudnie.

Wkrótce usnął z uczuciem niezwyklej radości w sercu i obudził się, gdy pociąg już dobiegał Marsylii.

Posiliwszy się w bufecie na dworcu, podążył do portu.

Zaczął od biur wielkich doków transportowych i firm handlowych, ofiarując swoją pracę, jako prawnik, buchalter, korespondent w językach angielskim, francuskim i niemieckim, jako zwykły subiekt, a nawet nocny stróż. Wszędzie żądano od niego referencyj i poręczenia. Sprzykrzyło mu się to wkrótce, i zirytowany odparł jakiemuś czerwonemu, grubemu panu:

– Mogę przedstawić referencje od pana Alwina Swena. Bardzo czcigodny jegomość!

– Czy to jaki kupiec, czy dyrektor fabryki? – Zapytał gruby pan.

– Tak jest! Pan Swen piastuje godność dyrektora więzienia – odpowiedział Pitt.

– Pan pracował w więzieniu? Na jakim stanowisku?

– Na stanowisku aresztanta numer 13! – najspokojniej w świecie objaśnił Pitt.

Gruby pan stał się tak czerwony, że Pitt uczul dla niego litość i rzekł:

– Obawiam się, że pana szlag trafi, wobec czego opuszczam go. Muszę jednak upewnić pana dyrektora, że lepszego i uczciwszego pracownika pan nie znajdzie. Mógłby pan mi powierzyć klucze od wszystkich kas, a grosz by nie przepadł! Tak, to prawda! Widzę jednak, że panu to się nie uśmiecha, więc odchodzę. Moje uszanowanie!

Pogwizdując poszedł ku dokom.

Wyładowywano od razu kilka statków. Setki robotników uwijało się na pokładach i na wybrzeżu przy parowych kranach. Znoszono skrzynki z daktylami, toczono beczki z oliwą palmową, zrzucono worki nabite surową gumą i koralami.

Jednak i tu nie było wolnego miejsca dla pary rąk należących do Pitta Hardfula. Odszedł więc i stojąc na uboczu, przyglądał się gorączkowej pracy. O kilka kroków od siebie spostrzegł innego człowieka. Zaczął mu się uważnie przyglądać, gdyż zaciekał go ten jasnowłosy olbrzym o potężnych barach. Twarz miał opaloną na ciemny brąz, co świadczyło, że był marynarzem, o tym mówiły też rysunki wytatuowane na rękach i wyglądające spod koszuli, rozpiętej na szerokiej, wypukłej jak kopuła piersi.

Olbrzym posiadał wąskie, czarne, skośne oczy, wydatne kości policzkowe i z lekka wydęte wargi.

– Mieszaniec białego człowieka i Mongoła! – pomyślał Pitt.

W tej chwili rozległ się przeraźliwy krzyk, coś szczękło, trzasło, i tona skrzyń z daktylami wysypała się do morza z pękniętej sieci, którą wyciągano ładunek z wnętrza dużego statku.

Zaczęto wyławiać skrzynie z wody, kląć i biadać nad tym, że z powodu pęknięcia sieci winda będzie stała nieczynna i że trzeba szukać nowej partii robotników.

Pitt zjawił się przed kapitanem okrętu, jakby wyskoczywszy spod ziemi.

– Jedno słowo, kapitanie! – rzekł swobodnym głosem.

– Czego tam, do stu zerwanych kotwic? – wrzasnął kapitan, Prowansalczyk.

– Potrzebuję pracy – zaczął Pitt.

– No to stawaj i nie gadaj długo! – przerwał mu kapitan. – Muszę znaleźć jeszcze pięćdziesięciu ludzi, bo inaczej nie zdążę na termin wyładować statku!

– Chwileczkę, kapitanie – wtrącił Pitt. – Przysługa za przysługę! Ja panu w godzinę naprawię sieć, a pan kapitan wyrobi mi stałą posadę w biurze swojego towarzystwa lub na statku.

– Nie zawracaj mi głowy! – ryknął kapitan. – Całą sieć diabli wzięli, a ten mi gada o naprawie. Gdzie tu znaleźć takie sznury? Nowej sieci dziś nikt nie pożyczycy. Wszystkie krany pracują...

– To już moja sprawa, kapitanie. Jeżeli pan powierzy mi sieć, wtedy, po wyładowaniu statku, muszę mieć posadę. Jeżeli zgoda, to winda za godzinę będzie czynna.

– Jeżeli to nie błaga, zostaniesz majtkiem na mojej „Akrze”, jeżeli skrewisz, skręcę ci twarz na przeciwległą stronę medalu, tak że będziesz patrzył ciągle poza siebie! – rzekł kapitan, podnosząc przed nos Pitta bardzo wymowną pięść.

– Zgadza się na te warunki! – zaśmiał się Pitt i pobiegł do sklepu ze sznurami.

Kupił tu pęk cienkiego szpagatu manili i powrócił do porwanej sieci.

– Z tych nici będziesz plół sieć? – krzyknął wściekłym głosem marynarz.

– Cierpliwości, kapitanie! – uspokajał go Pitt i zaczął szybko zwijać sznury w gruby, mocny powróż, mocniejszy od lin okrętowych, czego nauczono go w więzieniu.

Po godzinie sieć była naprawiona. Kapitan nie posiadał się z radości.

– Bosmanie! – krzyknął. – Przyjdzie tam do was nowy majtek – Pitt Hardful, dajcie mu coś do zjedzenia, a wlejcie mu w gardziel w moim imieniu i na mój rachunek pół litra najmocniejszego alkoholu. Będziecie mieli z niego pociechę!

– Niezawodnie, kapitanie! – potwierdził Pitt. – Znam się bowiem nie tylko na sznurach, lecz także na ślusarce, na medycynie, na prawach przeróżnych – od międzynarodowego do karnego włącznie, na rachunkowości, mówię po angielsku, hiszpańsku, niemiecku i francusku.

– Dość! – wołał kapitan. – Boję się, że grasz na fortepianie i umiesz tresować dzikie zwierzęta. Idź już na „Akrę”, tam cię ukontentują bosmani z kolejnej warugi.

Pitt skierował się do trapu, gdy nagle ktoś położył mu rękę na ramieniu.

– Przepraszam! – rozległ się głuchy, ponury głos. – Mam do pomówienia z wami.

Pitt obejrzał się. Za nim stał złotowłosy olbrzym z tatuowanymi rękami i przyglądał się mu uważnie.

– Tam na tym statku będą wam płacić mało, a głupiej pracy będziecie mieli dużo. Nigdy się nie wybijecie ze szpardeku na wyższe stanowisko. Widziałem waszą robotę z siecią i słyszałem, co umiecie. To akurat jest mi potrzebne! Pływam własnym statkiem, niedużym. Wezmę was na pomocnika. Pensja dziesięć funtów szterlingów miesięcznie w porcie i dwadzieścia na morzu. Trzy procent od zysku. Czy zgoda?

– Zgoda, jeżeli pan nie handluje niewolnikami i nie jest piratem – odpowiedział Pitt.

– Ludźmi nie handluję, lecz czasem kogoś się puści na dno, gdy zajdzie potrzeba – mruknął olbrzym.

– Przy mnie tego nie będzie – rzekł spokojnie Pitt.

– Zobaczymy! – znowu mruknął nieznajomy, a skośne oczy błysnęły.

– Zobaczymy – powtórzył z łagodnym spokojem Pitt. – Płynę z panem.

– Zrobione! – zawołał marynarz. – Nie będziesz żałował, jeżeli zechcesz być posłuszny

moim rozkazom. Po dwóch, trzech latach obłowisz się niczym bankier z angielskiego city.

– Bardzo to pożądane, kapitanie! – zauważył Pitt, przyglądając się olbrzymowi. – Mam tylko pewne zastrzeżenie,, bardzo zresztą drobne.:

– Mów – burknął olbrzym. – Widzę, że jesteś prawnikiem, bo lubisz dużo gadać.

– Długo milczałem – z uśmiechem odpowiedział niedawny aresztant – więc chcę się teraz nagadać. Ale to tylko na początku. Później będę mówił tylko wtedy, gdy zajdzie potrzeba. Więc co do moich zastrzeżeń, to dotyczą one posłuszeństwa i wzajemnego naszego stosunku.

– Wzajemnego stosunku? – zapytał marynarz, podnosząc ramiona. – Co to takiego?

Pitt wybuchnął śmiechem, bo już wiedział teraz, z kim ma do czynienia.

– To się wyjaśni powoli z naszej rozmowy! – odpowiedział. – Najpierw o posłuszeństwie. Będę posłuszny jak najsprawniejszy żołnierz, lecz do czasu, póki nie zamajaczą przede mną mury więzienia, niezależnie od tego, w jakim kraju zostały zbudowane. Wtedy będę nieposłuszny, rozkazów nie wykonam, będę walczył, jak mogę i umiem.

– Głupi jesteś! – pogardliwie rzucił olbrzym. – Więzienia pobudowano dla słabych i tchórzliwych, nie dla silnych i śmiałych.

– No, tak! Miałem towarzysza. Numer 39, był Murzynem i lubił mówić przysłowiami – opowiadał ze śmiechem Pitt. – Otóż powtarzał on często, że „jeżeli potężny i bogaty człowiek powie, że woda na rzece jest mocna jak whisky, słabi i tchórzliwi uwierzą i upiją się”.

– Mądry człowiek był ten Numer 39! Czy należał do załogi jakiegoś okrętu? – zapytał złotowłosego marynarza.

– I tak, i nie! – wzruszył ramionami Pitt. – W każdym razie był to okręt stojący na mocnej kotwicy i gnijący w porcie.

– Podła pozycja! – zawołał olbrzym i splunął.

– Jednak odbiegliliśmy od tematu naszej rozmowy, kapitanie! – zauważył Pitt. – Muszę oświadczyć z całą stanowczością, że oprócz potężnych i bogatych uznaję jeszcze jeden rodzaj ludzi, a mianowicie uczciwych. Jeżeli będę w gronie takich ludzi na waszym okręcie – popłynę i stanę się dla was pożytecznym. Jeżeli nie – pójdę jeść i pić na „Akrę”!

Marynarz milczał, z ukosa patrząc na spokojnego młodzieńca, na jego bladą twarz, zaciśnięte usta i badawcze oczy o twardym wzroku.

– Szerszeń z ciebie, przyjacielu! – mruknął nareszcie. – Szkoda, że jesteś otumaniony przesadami jak mój kuk. Chińczyk, dymem opium.

– Idę na „Akrę”, bo mi się jeść chce, kapitanie! – rzekł z uśmiechem Pitt. – Do widzenia gdzieś... kiedyś!.

– Jeszcze nie było powiedziane ostatnie słowo! – zawołał marynarz, kładąc mu rękę na ramieniu. – Daję ci słowo, że nie krzywdzimy nikogo, chyba po pijanemu na brzegu, po tawemach. Nie kradniemy nic, lecz swego bronimy pazurami i nikomu nie damy, chociażby doszło do noża lub kuli.

Pitt Hardful milczał i myślał, nie spuszczać oczu z ponurej, lecz wyrazistej twarzy marynarza.

– Nie oddamy swego – ciągnął dalej olbrzym, zaciskając pięści – bo proceder nasz ciężki i niebezpieczny. Przez osiem miesięcy igramy ze śmiercią, i musimy za to mieć zyski.

– To mi wystarcza i dogadza – powiedział Pitt. – Teraz co do owych wzajemnych stosunków. Nie lubię poufałości, nie znoszę, gdy mi mówią „ty” bez mego pozwolenia i bez racji pakują pięść pod nos lub oczy. Nazywam się Pitt Hardful i tak powinni zwracać się do mnie wszyscy, jeżeli chcą mieć we mnie dobrego towarzysza i chętnego pomocnika. To moje warunki!

– Zrobione! – zgodził się marynarz. – Będę cię nazywał mister Siwir, bo jesteś istotnie surowy.

– Mister Siwir dobrze brzmi! Niech tak będzie! – rzekł Pitt. – Teraz pójdę do kapitana „Akry”, aby mi zapłacił za naprawę sieci.

– Daj spokój! – zaśmiał się olbrzym. – Ten Francuz da ci jakie pięćdziesiąt franków całej parady. Masz tu pięć funtów zaliczki, przepij je w tawernie, a około północy znajdziesz tu, przy składach węglowych, koło brekwateru moją jolkę. Ona cię przyholuje do burty „Witezia”.

– Dziękuję za zaliczkę – rzekł Pitt, chowając biały banknot do kieszeni marynarki. – Jednak muszę upomnieć się o zapłatę. Każda praca powinna być wynagrodzona. O północy będę na „Witeziu”.

Potrząsnąwszy ręką marynarza, nowy pomocnik kapitana wszedł na pokład „Akry” i zażądał płacy za dokonaną naprawę sieci. Wkrótce wychodził, przesuwając w palcach nowy, chrzęszczący stufrankowy papiererek.

Zjadłszy obiad w małej portowej tawernie i napiwszy się, ku wielkiemu zdziwieniu pijanego posługacza, zamiast alkoholu czarnej kawy, Pitt wszedł do parku, skąd rozlegał się obszerny widok na morze. Usiadł na ławce i zapalił fajkę. Czuł się znowu szczęśliwy radością życia, a myśli od razu zagasły w jego duszy.

Przywrócił go do rzeczywistości ogłuszający huk lokomotywy towarowego pociągu. Spojrzał i dostrzegł długą smugę połyskujących w słońcu szyn kolejowych. Biegły na północ – tam, gdzie pozostawił rodzinne miasto, dom i więzienie.

Ha, więzienie – uśmiechnął się Pitt. – Szkoda, że nie ma tu Juliana Miguela. Zabrałbym go z sobą. Biedak z pewnością przeraziłby się widząc, że droga uczciwego życia nie kończy się na brzegu, a ciągnie się hen, daleko, tym oto białym śladem, który pozostawiają po sobie odpływające w szeroki świat okręty...

O północy mała szalupa dowiozła Pitta do czarnej burty trzy-masztowego szonera. Podpłynęła od strony rufy, gdzie połyskiwała mosiężna tablica z napisem „Witeż”.

Na deku stał złotowłosy olbrzym.

– Witam pana, mister Siwir, na pokładzie mego „Witezia” – rzekł marynarz, wyciągając do przybyłego rękę. – Nazywam się Olaf Nilsen, jestem właścicielem i kapitanem tej łupiny.

W pół godziny później Pitt chrapał w swojej kajucie.

Rozdział III

NA POKŁADZIE „WITEZIA”

Wybiły dzwonki warugi, rozległ się gwizdek bosmański i po nim głośny okrzyk:

– Owra! Wszyscy na pokład!

Sygnał ten obudził Pitta, zerwał się więc z łóżka i zaczął się szybko ubierać. Nie skończył jednak, gdy w drzwiach kajuty wyrosła barczysta postać Olafa Nilsena.

Skośne, czarne oczy śmiały się wesoło, przez rozchylone, wydęte wargi świeciły białe zęby, żujące gumę.

– Pierwsze opóźnienie, i do tego na brzegu, nie liczy się, mister Siwir! – zawołał.

– Przepraszam bardzo, kapitanie! – odparł Pitt zawstydzonym głosem. – Wszystko to z powodu ubrania miejskiego, zupełnie do szybszej toalety niezdadnego. Dziś sobie nabędę strój odpowiedni.

– Głupstwo! – uspokoił go Nilsen. – Owra! wygwizdano na wypłatę myta załodze i na oddanie rozkazu na lądowanie „Witezia”. Pana to tymczasem się nie tyczy, mister Siwir!

– Tym lepiej! – rzekł Pitt. – Zaraz pojedę na brzeg i kupię potrzebne rzeczy.

– Najpierw poznasz pan załogę statku, a później pojedziesz z bosmanem na brzeg... po śniadaniu – poprawił go kapitan.

– Słucham, kapitanie! – odparł Pitt. – Jestem już gotów. Gdy się znaleźli na pokładzie, zastali całą załogę w komplecie. Składała się zaledwie z ośmiu żeglarzy, lecz Pittowi wydało się, że ogromny tłum wypełnił dek „Witezia”, który był stanowczo za ciasny i za mały dla takich olbrzymów.

Pitt gwizdnął cicho i szepnął do Nilsena:

– Ależ wynaleźliście, kapitanie, wielkoludów!

Marynarz zaśmiał się i zaczął zaznajamiać Pitta z ludźmi załogi.

– Michał Ryba – bosman i steward w jednej osobie, dłonie ma żelazne i takąż głowę, ale zna służbę, okręt i morze. Mikołaj Skalny – mechanik i drugi bosman, lubi morze, a lubiłby je jeszcze bardziej, gdyby było z whisky lub chociażby z dżinu. Majtkowie, z których każdy może stanąć do pracy jako palacz–mechanik lub bosman, nazywają się: Udo Ikonen, Alen Hadejnen, Otto Lowe. Ci dwaj, Christiansen i Mito, są palaczami i mechanikami; wreszcie nasz kuk – „mandaryn” Tun–Lee, wielki mistrz, umiejący z konopnej liny przyrządzić makarony włoskie, a z żagla – kotlety. Oto już i cała kajut–kompania „Witezia”! Ten zaś dżentelmen, moi chłopcy, od wczoraj stał się sztormanem. Nosi nazwisko Pitt Hardful, ja zaś wolę nazywać go mister Siwir.

Nowy sztorman zaczął ściskać dłonie nowych towarzyszy. Gdy się ceremonia powitania skończyła, wszyscy, oprócz Ottona Lowego, odbywającego na kapitańskim mostku warugę, przeszli do biesiadni, gdzie już dymiły kubki z kawą.

Podczas śniadania Pitt uważnie przyglądał się nowym znajomym. Na widok ich potężnych piersi i mięśni, ogorzałych i opalonych na morzu twarzy, śmiałych, wprost przed siebie

patrzących oczu, uśmiechnął się i rzekł:

– Kapitanie! Nie lubię podawać się za to, czym nie jestem... Tytuł sztormana, dziesięć funtów na brzegu i dwadzieścia na morzu – to bardzo pojętne rzeczy! Jednak niech kapitan, póki jest czas i można mnie wysadzić na brzeg, pomyśli, że ja znam się na zawodzie marynarza tak, jak bosman Michał Ryba na rzeźbach Michała Anioła...

– Nie znam tego mego imiennika! – zgodził się bosman.

– Ja tak samo się znam na tym, co potrzebne jest dla sztormana! – zawołał Pitt ze śmiechem.

– Ciura jesteś, mister Siwir, wiem to... – przerwał mu Nilsen. – Nigdy nie słyszałeś zapewne o takich rzeczach, jak bakier, sztymbork, ru, gafla, takielaż, sztorcuma, bezan lub sztakżagiel, lecz nie są to znów takie mądre sprawy, gdyż inaczej sami nigdy byśmy się tego nie nauczyli. Więc i ty, gdy postoisz przez kilka warug przy sztorwale, gdy spróbujesz dobrego szturmu podczas „psiej zmiany” albo porządnej dmy lub zdradliwej szarugi gdzieś w pobliżu raf – od razu ukończysz „uniwersytet” marynarski i zostaniesz sztormanem jak się patrzy! Zresztą nie po to cię tu, mister Siwir, wzięłem. My, –wszyscy jak tu jesteśmy, gadać nie umiemy. Przeto nas oszukują, nabierają po portach i na komorach celnych, wyzyskują armatorowie, a my nieraz odpowiadamy pięścią lub nożem. Wynikają stąd sądowe sprawy, tak że już w paru portach nie możemy cumować naszego „Witezia”... To najważniejsza rzecz! A później –musisz nas leczyć na wypadek choroby lub rany.

Pitt słuchał olbrzymia i widział, jak oczy marynarzy z nadzieją i ciekawością wpatrywały się w nowego sztormana.

– Bronić waszych interesów mogę i krzywdzić was nikomu nie pozwolę, bo na prawie się znam – rzekł uspokojony Pitt. – Co do leczenia, to chociaż nie jestem lekarzem, potrafię być wam pomocnym, miałem przez dwa lata porządną praktykę.

Mówił prawdę, gdyż więzienny lekarz zawsze brał go do pomocy, a nieraz nawet wprost posługiwał się nim, nie mając czasu lub ochoty przychodzić do chorych aresztantów.

– Więc o czym tu, gadać, sztormanie! – zawołał kapitan, uderzając Pitta po ramieniu. – Zaraz pojedziesz z bosmanem na brzeg, zakupisz leków na osiem miesięcy i wszystkiego, co ci będzie potrzeba. A pamiętaj, że ruta nasza zawadzi o Zwrotnik Raka i o Ocean Lodowaty.

– Hm – mruknął Pitt – kawał świata!

– „Witeż” jest podjezdny, maszyny ma silne, a i ożaglowanie pierwszej klasy – mówił Nilsen. – Nie bój się, sztormanie, gdy pojedziemy na pomoc, wszystkie rupy napchamy węglem angielskim, i to najlepszym!

– Ja się nie boję, ja się cieszę! – zaprotestował Pitt. – Lubię morze i dużo podróżowałem na statkach, rozumie się jako pasażer, nigdy nie marząc o tym, że będę kiedyś marynarzem, i do tego – sztormanem.

– Schodzimy na brzeg, sztormanie! – odezwał się bosman Ryba. – Jolka już spuszczone stoi przy sztymborku. Zejdziemy lesicą.

Załoga przyglądała się z ciekawością pierwszym krokom nowego sztormana, lecz Pitt, od dzieciństwa uprawiający sporty, zręcznie zbiegł do łódki, czepiając się chwiejnych stopni bujającej drabinki. Bosman wiosłował, a Pitt przyglądał się mu z ciekawością. Ryba, jeszcze rosiejszy i bardziej potężny niż Olaf Nilsen, miał także złociste włosy, młodą, tępą twarz, niebieskie oczy i szerokie usta człowieka o prostaczym umyśle. Na obnażonych do łokci rękach miał wytatuowane motyle, kwiaty, jakieś kobiety w kapeluszach, zawile litery chińskie.

– Z pewnością upiękaszono pana tym na Wschodzie? – zapytał Pitt.

– Dwa lata temu chodziłem na „Witeziu” do Nagasaki, sztormanie. Tam mi te zabawki nakłuli Japończycy w porcie za dwa amerykańskie dolary. Już jesteśmy. Cumujcie, sztormanie!

Pitt wyskoczył i zarzuciwszy linkę na palik stojący na wybrzeżu, zręcznym ruchem

zaciągnął węzeł.

Spostrzegł to bosman i uważnie obejrzał wiązanie.

– Nie morski to węzeł, lecz mądry i mocny. Nauczcie mnie tego na deku w wolnej chwili! – poprosił.

– Rzecz łatwa i chętnie to uczynię – zgodził się Pitt.—Teraz idę po zakupy, bosmanie. Gdzie znajdę jolkę?

– Będzie tu stała, a gdybym odpłynął, machnijcie w stronę „Witezia” czymś białym. Z mostku zmiana dojrzy i pchnie łódź do brzegu z którymś z majtków. Do nocy wszyscy będą wolni.

– A w nocy? —spytał Pitt.

– W nocy wychodzimy w morze, gdzie będziemy się ładowali – odparł Ryba.

– Co się będzie ładowało?

– To nie moja rzecz, w tym głowa kapitana – odparł bosman wymijająco. – Jego pytajcie, nie mnie.

– Skąd wy jesteście, bosmanie? – zmienił rozmowę Pitt.

– Ja z brzegów Białego Morza, pochodzę z rosyjskich Pomorzan, co wyznają starą wiarę – rzekł i z melancholijnym uśmiechem dodał: – Daleko, stąd nie widać!...

– A nasz kapitan czy też się urodził w waszych stronach? – dopytywał sztorman.

– Nie! On – Norweg, ale nie czysty, bo matkę miał Laplandkę, dlatego ma czarne, skośne oczy i policzki jak u Tatara. Ale to dzielny, śmiały żeglarz! Takich już mało po morzach chodzi.

W głosie bosmana zabrzmiały nuty szacunku i dumy.

– Lubicie Olafa Nilsena? – zadał pytanie Pitt.

– Boimy się go, bo straszny w gniewie i niesamowity —szepnął Ryba – wszystko wie, wszystko widzi... Lecz hojny i spełnia przyrzeczenia. Wszyscy będziemy prędko bogaczami, nawet Tun-Lee, chociaż w każdym porcie, gdy wyjdzie na brzeg, zgrywa się w karty i kości. Hazardowny kuk!

– Załoga zgodnie z sobą żyje? – wypytywał dalej sztorman.

– Jak Bóg da! – odparł niepewnym głosem bosman. – Na brzegu – to dobrze, ale po trzech, czterech miesiącach pływania różnie bywa... Dzieją się nieraz straszne rzeczy... Gdyby nie kapitan... Ale sami, sztormanie, ujrzyście to... wkrótce...

– Jaka przyczyna niezgody? Powiedźcie, bosmanie!

– Sami dowiecie się... – szepnął, podnosząc szerokie bary. Ciężko wzdychając, marynarz z tajemniczą miną zaczął zapalać fajkę.

Już mam do rozwiązania dwie zagadki: nocne ładowanie „Witezia” na pełnym morzu i przyczynę swarów. Jak na pierwszy dzień mego urzędowania – to dostatecznie! – pomyślał Pitt i ruszył do miasta.

Rozdział IV

PIERWSZE ZAGADKI

Po zachodzie słońca na „Witeziu” zawrzała robota. Jacyś Grecy, zabawnie mówiący po francusku, kręcili się po pokładzie. Zapracowana załoga wyciągała za pomocą kranów zawartość rumu. Na dziobie i wzdłuż burt statku powoli wyrastała góra z pustych beczek, skrzyń, zwojów lin, łańcuchów, żaglowego płótna, żelaznych sztab, gumowych worków z solą i cukrem i innych, nieraz nie znanych Pittowi przedmiotów. Nareszcie jednak bardzo głęboki i pakowny rum „Witezia” został zwolniony. Pitt zobaczył wtedy magazyny umieszczone pomiędzy żelazną, burtą a drewnianym wewnętrznym oszyciem szonera; były napelnione węglem.

W tej chwili rozległ się przeciągły gwizdek i głos kapitana:

– Wszystkie zmiany na pokład! Szychtować!

Marynarze wydobywali się po zwisających drabinkach z głębokiego wnętrza „Witezia” i tylko bosman został przy przedniej windzie.

– Co mam robić, kapitanie? – zapytał Pitt, podnosząc się na mostek.

– Tymczasem nic! – odparł Nilsen. – Teraz będziemy szychtowali, to znaczy ładowali towary. Wasza robota zacznie się w nocy, mister Siwir.

Pitt miał już na języku zapytanie o rodzaj ładowanych towarów, gdy z głośnym sapaniem do burty szonera podszedł niski, czarny holownik i straszliwie dymiąc, doprowadził dużą krypę ze stojącymi na pokładzie skrzyniami.

Znajdujący się na jej pokładzie Grek wygramolił się na dek „Witezia”.

– Ładujcie! – krzyknął, machnąwszy kapeluszem w stronę bosmana.

– Sztormanie! – mruknął Nilsen. – Sprawdźcie ilość i rodzaj towarów, żeby później z tymi Grekami nie było jakiej hecy.

Pitt zbiegł na dół i wziął od bosmana dużą plikę papierów i rachunków. Z ciekawością przeglądał je. Na pozór wszystko było w porządku. „Witeż” przyjmował na pokład ładunek tkanin, skóry, obuwia, towarów aptekarskich, galety, konserwy, mąkę, makaron, sól i inne zupełnie zwyczajne rzeczy.

Pitt skontrolował ilość towarów, zmusił Greków do pokwitowania wagi nadanych do transportu przedmiotów i zażądał, aby podpisami swymi, zaświadczoneymi w kancelarii portowej, stwierdzili rodzaj każdej ze skrzyń, oznaczonych znakami właścicieli.

– Teraz wszystko w porządku! – rzekł, podchodząc do kapitana. – Nie odpowiadamy za nasz ładunek. Nie potrzebujemy wiedzieć, co się w nim zawiera, bo mamy podpisy nadawców.

– Ali right! – odpowiedział Nilsen i krzyknął, przechylając się przez poręcz mostka: – Ustawić towary na rufie, przykryć brezentami!

Już ściemniło się zupełnie, gdy Grecy opuścili pokład szonera i krypa odpłynęła w stronę mola.

Załoga spożywała kolację. Na mostku pozostał tylko kapitan i Pitt, oparty o sztorwał. Nilsen wpatrywał się w ciemności.

– Czy nic nie widzicie tam na południu, mister Siwir? – zapytał nagle, podchodząc do sztormana.

Pitt zaczął uważnie oglądać morze, spowite gęstym mrokiem. Na lewo i na prawo co kilka sekund migwały ognie bak, zapalały się i gasły czerwone i zielone płomyki pływających bakanów, wskazujących drogi wyjścia z portu.

– Nie o te sygnały pytam! – mruknął kapitan. – Patrzcie tam dalej! Czy nic nie spostrzegacie na pełnym morzu, tam gdzie już nie ma bakanów.

Minęła blisko godzina, nim w oddali mignęło światelko i zakreśliwszy trzy razy szeroki łuk, zgasło.

– Widzieliście? – spytał Nilsen.

– Widziałem! – odpowiedział Pitt. – Ktoś machnął trzy razy latarnią uwiązaną do wysokiego drąga.

– Sztormanie, zbiegnijcie do kajut–kompanii i gdy ludzie skończą posiłek, niech bosman zastąpi mnie na warudze, a wszyscy niech staną na swoich miejscach. Wkrótce wychodzimy z portu. Jeść będziemy później razem, mam do pomówienia z wami.

Gdy Pitt zbiegał z mostku, w oddali nieznani ludzie powtórzyli swój sygnał.

– Widzę, do stu rekinów! – zaryczał kapitan i ręką trzy razy zasłonił latarkę na sztymborku, odpowiadając komuś zaczajonemu wśród fal na otwartym morzu.

Wkrótce wyciągnięto kotwicę, szczęknęła, zaturkotała maszyna, i „Witeż” zaczął chyżo pruć łagodne fale, mijając dużą bakę, która błysnęła na chwilę i oświetliła podejrziwym okiem czarny kadłub statku; w pobliżu zaczerniał i zniknął mur brekwateru, a wtedy głęboko oddychająca pierś morza jęła podnosić i opuszczać drobny szoner Olafa Nilsena.

– Zaczynam nowe życie! – pomyślał Pitt. Kapitan zawołał go do kajuty. Zaczęli jeść. Kapitan długo milczał. Sztorman też nie odzywał się, czekając na rozmowę. Nareszcie Norweg, wychyliwszy dużą szklankę dzinu, pochylił się do Pitta i szepnął:

– Jeszcze nic nie rozumiecie, mister Siwir? Teraz dopiero będziemy się ładowali! W Portugalii ma wybuchnąć rewolucja. Potrzebują tam broni i innych rzeczy dla wojny. Dostarczymy im tego!

– Kontrabanda wojenna – zauważył Pitt – może nas zaprowadzić do więzienia; tego nie chcę i to sobie zastrzegłem, kapitanie!

– Czy myślicie, że ja chciałbym oddać życie na „Witeziu” za gnicie w kamiennym worku? – zaśmiał się Nilsen. – Nie! Żadnej kontrabandy nie wieziemy. Każdy przecież może wynająć dla siebie taki szoner jak mój. Może odbyć na nim weselną podróż z Marsylii do Rio, odwiedzić ciało zmarłego wujaszka z Folkestone do Nowego Jorku, naładować dzikie zwierzęta i cyrkowych błaznów w Hamburgu i przerzucić wszystko do Buenos–Aires, a my będziemy sprawowali warugi, czyścili maszyny, palili węgiel w piecach kotłów i płynęli tam, dokąd nas wynajęto za dobre pieniądze. Tak samo wieźlibyśmy hurt australijskiego bydła, wory z brazylijską kawą lub wsypaną luzem pszenicę argentyńską. Czyż nie tak, sztormanie?

– Pewno, że tak! – odpowiedział Pitt. – Jednak z tego widzę, że zamierzacie mnie do czegoś przygotować, a tymczasem obwijacie w bawełnę, kapitanie! Mówcie wprost!

– Tak istotnie będzie lepiej! – zgodził się Nilsen, zapalając fajkę. – Na morzu czeka na nas duża barkasa tych Greków. Wyciągniemy z niej kilkanaście pak z kulomiotami i nabojami dla portugalskich powstańców.

– Dokąd mamy to dostarczyć? – zapytał Pitt.

– W tym sęk – westchnął kapitan. – To się wyjaśni po naładowaniu „Witezia”.

– Kapitanie! – rzekł sztorman. – To musimy natychmiast wyjaśnić, jeżeli nie chcemy trafić pod klucz, a może spróbować jeszcze czegoś gorszego!

Nilsen milczał. Widząc to, Pitt zaczął rozwijać swoją myśl.

– Każda rewolucja, jako walka o wolność, jest rzeczą dobrą! My, zdaje się, nad wszystko przekładamy wolność, więc jest zrozumiałym, że chcemy Portugalczykom dopomóc, tym bardziej, że nam za to zapłacą hojnie, bo takie rzeczy darmo się nie robią. Grecy niezawodnie otrzymali już całą sumę za dostawę broni, niczym nie ryzykują, a więc powinni nam z góry zapłacić za rutę szonera i przystać na nasze warunki wylądowania w porcie neutralnym. Proponuję najbliższy port – Casablanca. Niech nas spotka przed portem jakaś barkasa podobna do tej, która dostarczy nam kulomioty, i wszystko będzie załatwione.

– Dobrze pomyślane! – zawołał Nilsen. – Ale co będzie, gdy nas spotka nie barkasa, lecz statek celny lub jakieś awizo.

– Weźmiemy od Greków na piśmie rozkaz wylądowania towaru na składzie wskazanej przez nich firmy. Reszta nas nie obchodzi!

– Nie dadzą! – westchnął kapitan.

– Dadzą! – rzekł Pitt. – Pozostawcie to mnie. Po chwili obaj wyszli na pokład. W mroku nocnym tymczasem coraz wyraźniej zarysowywały się kontury sporego żaglowca, rozkołysanego na falach. Nie błyskała tam żadna latarka i nie dolatywał stamtąd żaden dźwięk.

– Dobrze się zaczaili! – zauważył Nilsen i przystawiwszy tubę do ust, krzyknął:

– „Witeż”! Czekam na ładunek.

– Hola! – natychmiast nadbiegł z żaglowca głośny okrzyk. – Greckie towarzystwo transportowe „Pireus”. Czy to kapitan Nilsen mówi?

– Tak! Bądźcie gotowi na przyjęcie łapanek. Musimy dobrze obciągnąć liny, bo będzie nas biło burtami, a niebawem dunuga przyjdzie; na północy szturm szalał podobno...

Zaczął się ostrożne posuwanie naprzód, warkot śruby, ciche odgłosy komendy, nareszcie szmer rozwijającej się w powietrzu linki, plusk cum padających do wody i – cisza.

Szoner Nilsena i barkasa Greków stały obok siebie, mocno uwiązane grubymi cumami, idącymi od rufy i dziobu.

Przerzucono chodniki pomiędzy burtami i Grecy zjawili się na pokładzie „Witezia”.

– Kto z panów jest tu pełnomocnikiem? – zapytał Pitt. – Proszę za mną do biesiadni!

Niedługo trwało ładowanie, bo sprawna załoga uwijała się szybko i umiejętnie. Gdy zaś Nilsen wszedł do kajuty, Pitt zwrócił się do niego, wskazując na siedzącego Greka:

– Pan Panopulos na firmowym papierze wypisał nam zlecenie oddania ładunku na składy syryjskiego kupca Janisa w Casablance i wysłał telegram do niego, aby barkasa spotkała nas gdzieś przed Mehdiya. Przeładujemy kulomioty na barkasę, a z resztą towarów pójdziemy do Casablanki. Firma „Pireus” ufa kapitanowi „Witezia” i wypłaciła gotówką kosztą przewozowe. Oto są pieniądze, kapitanie! Nilsenowi oczy błysnęły, lecz pohamował się i rzucił:

– Ali right!

– Teraz, kapitanie, proszę pomówić o szczegółach z panem Panopulosem, ja zaś ułożę telegram do firmy Janis.

Po kilku minutach Pitt podał Grekowi blankiet telegraficzny i otrzymawszy podpis, opuścił biesiadnię. Nilsen nalał dwie pełne szklanki dobrej, szkockiej whisky.

– Wypijmy za pomyślność wyprawy! – mruknął.

– Chętnie! – odparł Grek. – Szczęśliwej drogi, powodzenia! Trącili się szklankami, gdy nagle kapitan podniósł głowę i zaczął nadśłuchiwać.

– Co się stało? – zapytał Grek.

– E–e, nic! Fala się podnosi! – odpowiedział Nilsen, nie spuszczać oczu z drzwi kajuty.

Nie czekał długo, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Pitt. Był spokojny i miał jak zwykle obojętną twarz i mocno zaciśnięte usta.

– Jak tam z ładowaniem, sztorowanie? – zapytał kapitan.

– Wszystko skończone! – odparł Pitt. – Już płyniemy, tymczasem na żaglach, aby trochę

się oddalić po cichu i nie zwracać na siebie uwagi portowych dozorców. Telegram pana oddałem, jeszcze dziś go wyprawia ludzie pana.

– Jak to? – wrzasnął Grek. – Ja też płynę?

– Istotnie, pan płynie razem z nami, panie Panopulos – odpowiedział Pitt, zapalając fajkę.

– Najlepiej będzie, gdy pan osobiście odda swoje towary firmie Janis. My przecież, jak dorożkarze, wieziemy, ale nie możemy załatwiać cudzych spraw, niezupełnie zwykłej miary. Zresztą na powrotnej drodze bezpłatnie odstawimy pana do któregoś z francuskich portów. Tak będzie najlepiej! Pan będzie spokojny, kapitan też, młoda Portugalia otrzyma kulomioty, bo przecież pan nie zechce, żeby ten ładunek dostał się w ręce urzędników komory celnej, policji lub konsula starego rządu lizbońskiego? Pan przecież wie, czym to może grozić?!

– To gwałt! – znowu wrzasnął Grek.

– Piękny mi gwałt, skoro pan o nim mówi przy szklance whisky! – zaśmiał się sztorman, pykając fajkę.

Nilsen, oparłszy na stole potężne ramiona, trząsł się ze śmiechu. W tej chwili zahuczała maszyna „Witezia”. Statek drgnął i dygocąc, nabierał coraz większego rozpędu.

Z pokładu doniosła się komenda bosmana:

– Strychuj żagle! Zapalić sygnały! Westa na wodę! Pełny bieg!

– Płyniemy jak się należy! – wrzasnął kapitan.

– I ja... płynę... – jęknął Grek.

– Pan odbędzie przyjemną podróż w miłym towarzystwie – uspokoił go Pitt. – Ludzie pana powiadomią jutro firmę „Pireus”, że pan postanowił osobiście doprowadzić ładunek do miejsca przeznaczenia. Zabierze to panu jakieś dziesięć dni... Po prostu – sielankowa wycieczka!

Grek błyskał na sztormana złymi oczami, lecz milczał. Kapitan zataczał się ze śmiechu i pił szklankę po szklance whisky.

O czwartej z rana wypadła waruga Pitta. Gdy stanął na mostku, zjawił się przy nim Nilsen.

– Sam będę uczył was, mister Siwir! – rzekł.

– Doskonale! – rzekł Pitt. – Dziękuję, bo dobra to będzie szkoła dla mnie. Ale chciałem powiedzieć kapitanowi, że to, co zrobiłem, nie jest zupełnie... po dżentelmeńsku. Chciałem tylko pokazać wam, co mogę i co umiem. Nie chcę więcej robić transakcyj z towarami, do których nie warto dopuszczać urzędników celnych!

– No, no! – rzekł pojednawczym głosem Nilsen. – Jakoś tam będzie!

– Więcej tego nie będzie nigdy, mój kapitanie! – zawołał Pitt. – Nie chcę tego ani dla siebie, ani dla was, ani dla „Witezia”.

– Cóż ja wtedy będę robił? – zamruczał kapitan i groźnie podniósł głowę. – Pszenicę wozil luzem, holował krypy w portach?

– Co macie w projekcie po tej rucie? – zapytał sztorman. Nilsen zawahał się przez chwilę, lecz odpowiedział:

– Popłyniemy na północ, do Oceanu Lodowatego. Powieziemy tam alkohol dla dzikich rybaków i zmienimy go na kość morsów, fiszbin, mrożone jesiотry, które sprzedamy w portach norweskich.

– Dobrze, pomyślę o tym! – rzekł Pitt, patrząc na kompas i kręcąc sztorwał, aby nadać „Witeziowi” wskazany przez kapitana kierunek.

Wkrótce kapitan poszedł na dek, aby się przekonać, czy ułożone w rumie skrzynie z bronią dobrze przykryto towarami, leżącymi przedtem na rufie.

O dziesiątej rano na mostku kapitańskim stanął Otto Lowe i dźwięcznym głosem rzekł:

– Wydzwonię sygnał trzeciej warugi. To moja zmiana, sztormanie!

Pitt przyjrzał mu się uważnie. Był to młody człowiek, wysoki, wiotki, o małych rękach i dużych, spokojnych oczach. Delikatny zarys ust i brak śladów zarostu nadawały mu wygląd kobiety. Jednak miał opaloną na brąz skórę, a muskularne ręce i nogi zdradzały niepospolitą

siłę.

Pitt pokazał mu kierunek ruty i odszedł.

Gdy schodził z mostku, spostrzegł majtkę. Udo Ikonena, ukrytego za zwojem lin i stosem beczek. Z ciekawością wyciągał szyję, przypatrywał się temu, co się dzieje na mostku, i obracając głowę ostrożnie, podsłuchiwał.

Spostrzegłszy sztormana, udał obojętnego i zaczął nabijać fajkę tytoniem, gwizdząc jakąś piosenkę.